

PETER MAY

CZŁOWIEK
Z WYSPY LEWIS



PROLOG

Na tej chłostanej sztormami wyspie, w odległości trzech godzin rejsu od północno-zachodniego wybrzeża Szkocji, skąpa gleba daje ludziom pożywienie i ciepło. Przyjmuje także ich zmarłych. I bardzo rzadko, tak jak dzisiaj, wydaje ze swego łona jednego z nich.

Wycinanie torfu to zajęcie społeczne. Rodzina, sąsiedzi, dzieci, wszyscy zebrali się na wrzosowisku w porywach wiejącego z południowego zachodu łagodnego wiatru, który wysusza trawy i odgania muszki. Annag ma tylko pięć lat. Wycina torf po raz pierwszy i zapamięta to na całe życie.

Spędziła rano z babcią w kuchni rodzinnego domu i pilnowała jajek gotujących się na starym piecyku, w którym płonął torf z poprzedniego roku. Teraz kobiety idą przed siebie z koszami. Ona jest boso; biegnie przodem po kłującym wrzosie, a brązowa woda tryska między palcami jej stóp. Annag jakby się unosiła na skrzydłach podniecenia, które przyniósł ze sobą ten dzień.

Widzi tylko niebo — rozrywane i postrzępione przez wiatr. Niebo, z którego sączą się promienie słońca i padają krótkimi błyskami na martwą trawę, gdzie białe kłaczki wąskolistnej pochylają się w gwałtownych porywach niespokojnego powietrza. W nadchodzących dniach polne kwiaty wiosny i wczesnego lata pokryją brązowe nieużytki zimy żółtym i liliowym kobiercem, ale na razie są pogrążone w uśpieniu i

martwocie.

W dali, na tle słonecznego blasku, który migocze na oceanie uderzającym o czarne i uparte gnejsowe klify, widać sylwetki sześciu mężczyzn w kombinezonach roboczych i wełnianych czapkach. Światło jest niemal oślepiające; Annag przysłania dłonią oczy i widzi, jak pochylają się i garbią, gdy *tarasgeir* — przyrząd do wycinania torfu — przesuwa się po miękkiej czarnej darni, by wydobyć ją pod postacią wilgotnych kwadratowych brył. Ziemia jest naznaczona bliznami, które pozostawiły pokolenia mieszkańców dobywających cenny materiał — rowami głębokimi na trzydzieści albo czterdzieści centymetrów; po obu ich stronach zalegają świeżo wycięte i schnące kawałki darni. Za kilka dni ludzie powrócą tu, by odbyć rytuał *cruinneachadh* — układania brył w *rùdhain*, czyli niewielkie stożki, które poddając się powiewom wiatru, wyschną do końca.

Potem zostaną umieszczone na wózku i zabrane do zagrody, tam zaś wysuszone bryły ułożą się jak cegły, jedna na drugiej, w jodełkę; utworzą stos, który zapewni rodzinie ciepło i pozwoli gotować posiłki zaspokajające głód przez całą następną zimę.

Tak właśnie mieszkańcy Lewis, najdalej na północ wysuniętej wyspy w archipelagu Hebrydów Zewnętrznych, potrafili przetrwać przez wieki. I teraz, w epoce finansowej niepewności, gdy ceny paliw rosną niebotycznie, ludzie mający w domach otwarte paleniska i piece powracają tłumnie do tradycji przodków, gdyż jedynym kosztem ogrzania domostwa jest własna praca i oddanie Bogu.

Dla Annag to jednak tylko przygoda; na tym chłostanym wiatrem wrzosowisku czuje, jak łagodne powietrze wypełnia jej usta, gdy się śmieje, woła do ojca czy dziadka i słyszy gdzieś za plecami głosy matki i babki, które rozmawiają krzykliwie. Nie wyczuwa napięcia, jakie ogarnęło nagle mężczyzn. Ma zbyt mało doświadczenia, by bezbłędnie odczytać język ciała ludzi przycupniętych wokół ściany rowu,

który zapadł się przy ich stopach.

Jest już za późno, gdy ojciec ją dostrzega i woła, żeby nie podchodziła. Jest za późno, by dziewczynka mogła się zatrzymać albo zareagować na panikę w jego głosie. Mężczyźni podnoszą się nagle i obracają w jej stronę, ona zaś dostrzega twarz brata, która ma kolor bawełnianych prześcieradeł rozkładanych na słońcu, żeby zbiały.

Podąża za jego spojrzeniem ku osuwisku i ręce, która się ku niej wyciąga — łykowata skóra niczym brązowy pergamin, palce skurczone, jakby ścisnęły niewidzialną piłkę. Jedna noga założona na drugą, głowa odchylona do tyłu, jakby w poszukiwaniu utraconego życia, ziewające czernią dziury w miejscu oczu.

Przez chwilę niczego nie rozumie, a potem nagle uświadamia sobie to, co widzi; krzyk, który dobywa się z jej ust, ucieka porwany przez wiatr.

ROZDZIAŁ 1

Gunn już z daleka zauważył samochody zaparkowane na poboczu drogi. Niebo było niebieskie i czarne, groźne i umęczone; zwieszało się nad oceanem, niskie i monotonne. Poruszające się przerywanie, ale uporczywie wycieraczki rozmazywały na szybie pierwsze krople deszczu. Ołowianą powierzchnię oceanu znaczyła gdzieś tam biel załamujących się fal, wysokich na co najmniej pięć metrów, a samotne, migoczące niebieskie światło radiowozu stojącego obok karetki niknęło niemal w ogromie krajobrazu.

Za samochodami widać było kryte żwirem i wapnem domy w Siader — zbiły się w gromadkę, jakby w obronie przed pogodą, znużone niespokojnym wyczekiwaniem, ale przyzwyczajone do bezlitosnych ataków natury. Linii horyzontu nie przełamywało ani jedno drzewo; tylko szeregi próchniejących palików ogrodzeń wzdłuż poboczy i rdzewiejące wraki traktorów i samochodów na podwórzach. Przywiedłe krzewy, dzielnie wypuszczające zielone pędy, przywierały upartymi korzeniami do cienkiej warstwy gleby w oczekiwaniu na lepsze dni, a morze wełnianki marszczyło się i falowało jak woda na wietrze.

Gunn zaparkował obok radiowozu i wysiadł; poczuł, jak gwałtowny podmuch powietrza porywa mu gęste ciemne włosy z czoła, i otulił się szczelniej czarną pikowaną kurtką. Zwymyślał się w duchu, że nie włożył wysokich butów. Ruszył

ostrożnie po grząskim gruncie i po chwili poczuł, że skarpetki ma przesiąknięte wodą z torfowiska.

Dotarł do pierwszego rowu, a następnie szedł wzdłuż jego brzegu, omijając wzgórki schnących brył darni. Policjanci wbili metalowe paliki w miękką ziemię, by odgrodzić miejsce zdarzenia niebiesko-białą taśmą, która furkotała i zwijała się na wietrze. Od strony najbliższych zagród, które przycupnęły około ośmiuset metrów dalej, przy krawędzi klifów, docierała woń dymu torfowego.

Wokół ciała skupiła się grupka ludzi, opierając się podmuchom wiatru: załoga karetki w odblaskowych żółtych kombinezonach, czekająca na to, żeby zabrać zwłoki, i policjanci w czarnych nieprzemakalnych kurtkach i kraciastych czapkach, którzy uważali, że widzieli już wszystko. Do teraz.

Rozstąpili się bez słowa, żeby przepuścić Gunna, a on zobaczył lekarza policyjnego, który kucał nad zwłokami i odsuwał delikatnie palcami w lateksowych rękawiczkach kruszejący torf. Podniósł wzrok, gdy Gunn stanął nad nim; detektyw sierżant po raz pierwszy zobaczył brązową, uschniętą skórę martwego człowieka. Zmarszczył czoło.

— Jest... kolorowy?

— Nie, to skutek działania torfu. Powiedziałbym, że to człowiek rasy białej. Całkiem młody. Osiemnaście, dziewiętnaście lat, może trochę ponad dwadzieścia. Klasyczny przypadek zwłok z bagien, niemal doskonale zachowanych.

— Widziałeś już takiego?

— Nigdy. Ale czytałem o nich. Sól niesiona przez wiatr od oceanu sprzyja rozwojowi mchu torfowego. A kiedy korzenie zaczynają gnić, wytwarza się kwas, który zachowuje ciało, niemal konserwuje. Przypuszczam, że organy wewnętrzne są praktycznie nienaruszone.

Gunn patrzył z bezwstydnym zaciekawieniem na niemal z mumifikowane zwłoki.

— Jak umarł, Murdo?

— Wygląda na to, że nie była to śmierć naturalna. W

okolicy klatki piersiowej widać kilka ran kłutych, a gardło zostało poderżnięte, jednak definitywną przyczynę śmierci może określić tylko specjalista medycyny sądowej, George. — Lekarz wstał i ściągnął rękawiczki. — Lepiej go stąd zabierzcie, zanim rozpada się na dobre.

Gunn skinął głową, nie mógł jednak oderwać wzroku od twarzy młodego człowieka uwięzionego przez wieki w torfie. Choć była skurczona i zniekształcona, rozpoznałby ją każdy, kto go znał. Tylko miękkie, odsłonięte tkanki oczu uległy rozpadowi.

— Jak długo tu leży?

Śmiech Murda rozpląnął się w porywie wiatru.

— Kto wie. Setki lat, może nawet tysiące. Trzeba specjalisty, żeby to ustalić.

ROZDZIAŁ 2

Nie muszę patrzeć na zegar, żeby wiedzieć, która jest godzina.

Dziwne, że ten brązowy zaciek na suficie wydaje się rankiem jaśniejszy. Krystaliczne ślady pleśni wzdłuż pęknięcia przecinającego płamę są jakby bielsze. I dziwne, że budzę się zawsze o tej samej porze. Nie z powodu światła przy brzegach zasłon, ponieważ o tej porze roku godziny ciemności są tak nieliczne. To musi być kwestia wewnętrznego zegara. Te wszystkie lata wstawania o świcie, żeby wydoić krowy i robić to, co wypełnia każdą godzinę dnia. Lata, które już przeminęły.

Lubię wpatrywać się w tę płamę na suficie. Nie wiem dlaczego, ale rankiem przypomina wspaniałego konia; jest osiodłany i czeka, by mnie zabrać w jakąś lepszą przyszłość. Nocą, gdy robi się mrocznie, plama się zmienia. Przypomina wtedy stojącą na tylnych łapach rogatą istotę, która jest gotowa ponieść mnie w ciemność.

Słyszę, jak otwierają się drzwi; odwracam głowę i widzę kobietę stojącą na progu. Wydaje się znajoma, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją widziałem. Dopóki się nie odezwie.

— Och, Tormod...

Oczywiście. To Mary. Poznałbym jej głos wszędzie. Zastanawiam się, dlaczego wygląda tak smutno. I dostrzegam w niej coś jeszcze. Coś, co sprawia, że kąciki jej ust opadają.

Coś w rodzaju obrzydzenia. Wiem, że mnie kiedyś kochała, choć nie jestem pewien, czy ja ją kochałem.

— O co chodzi, Mary?

— Znowu zapaskudziłeś łóżko.

Sam to teraz wyczuwam. Nagle. Prawie mnie zatyka. Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej?

— Nie mogłeś wstać? Naprawdę nie mogłeś?

Nie wiem, dlaczego mnie obwinia. Nie zrobiłem tego specjalnie. Nigdy nie robię tego specjalnie. Zapach się nasila, gdy Mary odsuwa pościel i zasłania sobie dłonią usta.

— Wstawaj — mówi. — Muszę zmienić pościel. Wrzucić piżamę do wanny i weź prysznic.

Spuszczam nogi na podłogę i czekam, aż pomoże mi wstać. Kiedyś nie byłem taki słaby. Zawsze odznaczałem się siłą. Pamiętam, jak skręciła sobie kostkę obok starej zagrody dla owiec, gdy zaganialiśmy zwierzęta do strzyżenia. Nie mogła iść, więc musiałem zanieść ją do domu. Ponad trzy kilometry, z obolałymi ramionami, i ani słowa skargi. Dlaczego nigdy nie wspomni o tym?

Czy nie widzi, jakie to poniżające? Odwracam głowę, żeby nie widziała łez napływających mi do oczu; mrugam rozpaczliwie, by je powstrzymać. Biorę głęboki oddech.

— Kaczor Donald.

— Kaczor Donald?

Zerkam na nią i niemal kulę się w sobie na widok gniewu w jej oczach. Czy to właśnie powiedziałem? Kaczor Donald? Niemożliwe, żebym właśnie to miał na myśli. Ale nie potrafię się teraz zorientować, o co mi chodziło. Więc powtarzam, i to zdecydowanie:

— Kaczor Donald.

Pomaga mi dźwignąć się na nogi, niemal szorstko, i popycha mnie w stronę drzwi.

— Zejdź mi z oczu!

Dlaczego jest taka zła?

Wlokę się do łazienki i ściagam z siebie piżamę. Gdzie

miałem ją włożyć? Rzucam ją na podłogę i patrzę w lustro. Spogląda na mnie stary człowiek; jego siwe włosy przypominają szczecinę, niebieskie oczy są wyblakłe. Zastanawiam się przez chwilę, kim jest, potem odwracam się i patrzę przez okno na *machair* i wybrzeże w dali. Widzę wiatr, który marszczy gęste zimowe futro owiec skubiących wspaniałą słoną trawę, ale nie słyszę go. Nie słyszę też oceanu, który rozbija się o brzeg. Cudowna biała spieniona woda, pełna piasku i zawziętości.

To pewnie z powodu podwójnej szyby. Nigdy nie mieliśmy takiej na farmie. Człowiek wiedział, że żyje, kiedy wiatr gwizdał we framugach okien i wyganiał dym torfowy przez komin. Był pokój, w którym się oddychało, był pokój, w którym się mieszkało. Tutaj pokoje są tak małe, oddzielone szczelnie od świata. Jakby się przebywało w powietrznej bańce.

Ten stary człowiek znów patrzy na mnie z lustra. Uśmiecham się, a on odpowiada mi tym samym. Oczywiście, wiedziałem cały czas, że to ja. I zastanawiam się, co porabia teraz Peter.

ROZDZIAŁ 3

Było już ciemno, kiedy Fin zgasił w końcu światło. Słowa jednak nie zniknęły, jakby wypalone na siatkówce oczu. Nie było ucieczki w ciemność.

Oprócz zeznania Mony były jeszcze dwa inne, złożone przez przygodnych świadków. Żaden z nich nie miał dość przytomności umysłu, by zapisać numer rejestracyjny samochodu. To, że Mona tego nie zrobiła, nie mogło w żaden sposób dziwić. Uderzona przez rozpędzony pojazd, spadła na maskę i przednią szybę ze straszliwą siłą, po czym została odrzucona w bok i przetoczyła się kilka razy po twardej bitumicznej nawierzchni drogi. To, że nie odniosła poważniejszych obrażeń, zakrawało na cud.

Robbie, którego środek ciężkości znajdował się niżej niż u Mony, dostał się pod koła.

Ilekoć Fin czytał te słowa, wyobrażał sobie, że jest na miejscu zdarzenia, że widzi wypadek, i za każdym razem czuł falę mdłości wzbierającą w żołądku. Wszystko to było równie żywe w jego umyśle jak realne wspomnienie. Podobnie jak opis twarzy, którą Mona widziała za kierownicą samochodu, utrwalonej tak wyraziście w jej pamięci, choć musiała dostrzec ją tylko przelotnie, w ułamku sekundy. Mężczyzna w średnim wieku z długimi kasztanowymi włosami o popielatym odcieniu. Dwu- albo trzydniowy zarost. Jak ona to zauważyła? A jednak nie miała żadnych wątpliwości. Kazał nawet policyjnemu

rysownikowi sporządzić na podstawie jej opisu portret pamięciowy. Portret twarzy, która pozostała w aktach, twarzy, która nawiedzała jego sny nawet po dziewięciu miesiącach.

Odwrócił się i zamknął oczy w złudnej nadziei na sen. Okna w jego pokoju hotelowym były uchylone za zasłonami; napływało przez nie powietrze, ale też hałas ruchu ulicznego na Princes Street. Podciągnął kolana pod brodę, przywierając łokciami do boków, i złączył dłonie na piersi, niczym pogrążony w modlitwie embrion.

Nazajutrz miał nastąpić koniec wszystkiego, co towarzyszyło mu przez większość dorosłego życia. Wszystkiego, czym był i czym się stał, i czym jeszcze miał się stać. Jak tamtego dnia przed tak wielu laty, gdy ciotka powiedziała mu, że jego rodzice nie żyją, a on poczuł się po raz pierwszy w swym krótkim życiu całkowicie i przerażająco samotny.

• • •

Świt nie przyniósł ulgi, tylko milczącą determinację, by przeżyć nadchodzący dzień. Ulice omiatał ciepły wietrzyk, a blask słońca kładł się ruchliwymi wzorami na ogrodach pod zamkiem. Fin przeciskał się uparcie przez hałaśliwy, rozgadany tłum w modnych wiosennych strojach. Pokolenie, które zapomniało o ostrzeżeniu starszych — nie zdejmuj płaszcza aż do maja. Nigdy nie wydawało mu się w porządku, że życie innych ludzi ma się toczyć tak jak przedtem. Kto jednak by się domyślił bólu kryjącego się za maską normalności, jaką nosił? Kto wiedział, co tak naprawdę skrywają oblicza innych?

Wstąpił do punktu ksero przy Nicolson Street i schował odbitki do skórzanej teczki, nim ruszył na wschód, w stronę St Leonard's Street i komendy policji, gdzie spędził większość z ostatnich dziesięciu lat. Dwa dni wcześniej odbyło się przyjęcie pożegnalne w pubie przy Lothian Road, gdzie zjawili się kilku jego kolegów. Dość smutna impreza, pełna wspomnień i żalu, ale też szczerej życzliwości.

Kilku ludzi skinęło mu głową na korytarzu. Inni uścisnęli

mu rękę. Potrzebował tylko paru minut, żeby posprzątać biurko i schować osobiste rzeczy do kartonowego pudła. Smutne, gromadzone przez lata szczątki niezmordowanego życia zawodowego.

— Wezmę od ciebie legitymację służbową, Fin.

Odwrócił się. Główny detektyw inspektor miał w sobie coś z sępa. Zawsze sprawiał wrażenie wygłodniałego i czujnego. Fin skinął głową i oddał mu legitymację.

— Przykro mi, że odchodzisz — powiedział Black.

Nie wyglądał jednak na kogoś, komu jest przykro. Nigdy nie wątpił w kompetencje Fina, jedynie w jego zaangażowanie. I dopiero teraz, po tych wszystkich latach, Fin był gotów przyznać, że szef miał rację. Obaj wiedzieli, że jest dobrym policjantem, tylko że Fin potrzebował więcej czasu, by zdać sobie sprawę, że to nie jego powołanie. Punktem zwrotnym była śmierć Robbiego.

— W archiwum powiedzieli mi, że trzy tygodnie temu poprosiłeś o dokumentację dotyczącą wypadku twojego syna. — Black czekał być może na potwierdzenie ze strony Fina. Nie padło, więc dodał: — Chcą ją z powrotem.

— Oczywiście. — Fin wyjął akta z teczki i rzucił je na biurko. — Mało prawdopodobne, by ktokolwiek do tego jeszcze zajrzał.

Black skinął głową.

— Rzeczywiście. — Zawahał się. — Czas, żebyś też zamknął tę sprawę, Fin. Będzie cię zżerać i spieszy ci resztę życia. Opuść sobie, synu.

Fin nie potrafił spojrzeć szefowi w oczy. Wziął pudło ze swoimi rzeczami.

— Nie mogę.

Po wyjściu na zewnątrz obszedł budynek od tyłu, uniósł pokrywę wielkiego zielonego pojemnika na surowce wtórne i wrzucił do niego najpierw zawartość, a potem sam karton. Nie był mu do niczego potrzebny.

Stał przez chwilę i patrzył na okno, z którego tak często

obserwował słońce, deszcz i śnieg na zacienionych zboczach Salisbury Craggs. Przez wszystkie pory roku tych zmarnowanych lat. Ruszył w stronę St Leonard's Street, żeby złapać taksówkę.

• • •

Wysiadł u podnóża stromej, brukowanej Royal Mile, najstarszego traktu edynburskiej starówki, tuż obok katedry Świętego Gilesa, i znalazł Monę, która czekała na niego na Parliament Square. Wciąż miała na sobie bezbarwny zimowy strój i niemal niknęła pośród architektury tych Aten północy — budynków z piaskowca, poczernionych przez czas i dym. Przypuszczał, że otoczenie odzwierciedla jej nastrój. Ale dostrzegł coś jeszcze prócz przygnębienia. Była wyraźnie zdenerwowana.

— Spóźniłeś się.

— Przepraszam.

Wziął ją pod rękę i ruszyli pospiesznie przez opustoszały plac, a potem przeszli pod strzelistymi kolumnami. Zastanawiał się, czy specjalnie się nie spóźnił. Nie chodziło o niechęć do zerwania z przeszłością, lecz o strach przed tym, co będzie. Strach przed porzuceniem bezpiecznego związku i samotnym zmaganiem się z przyszłością.

Zerknął na Monę, kiedy wkraczali w bramę niegdysiejszej siedziby parlamentu szkockiego. Zasiadający w nim właściciele ziemscy i kupcy, skuszeni trzysta lat wcześniej łapówkami Anglików, sprzedali niechcianej unii tych, których mieli reprezentować. Związek Fina i Mony też był czymś w rodzaju unii z rozsądku, pozbawioną miłości przyjaźnią, ożywianą sporadycznym seksem i spajaną wspólną miłością do syna. A teraz, bez Robbiego, kończyła się tutaj, w sądzie. Prawomocnym wyrokiem rozwodowym. Kawałkiem papieru zamykającym rozdział ich życia, którego napisanie zabrało szesnaście lat.

Dostrzegł ból w jej twarzy; w tym momencie powrócił żal

całego życia, by ponownie go prześladować.

Ostatecznie wystarczyło kilka minut, by wyrzucić te lata na śmietnik. Dobre czasy i złe. Zmagania, śmiech, walki. Wyszli na olśniewający blask słońca rozlewający się po kostce brukowej i na gwar ruchu ulicznego przetaczającego się po Royal Mile. Życie innych ludzi przemykało obok, podczas gdy ich własne zatrzymało się w miejscu. Stali jak nieruchome postaci, podczas gdy reszta świata wirowała wokół nich jak na filmie poklatkowym.

Szesnaście lat przemknęło i znów byli obcymi sobie ludźmi, którzy nie wiedzą, co powiedzieć z wyjątkiem „do widzenia”, którzy boją się nawet wymówić to głośno pomimo świstków papieru trzymanyh w ręku. Bo, pomijając pożegnanie, co pozostało? Fin otworzył skórzaną teczkę, żeby schować dokument, i odbitki w beżowym folderze wysunęły się i rozsypały pod jego stopami. Pochylił się szybko, żeby je pozbierać, a Mona przykucnęła, chcąc mu pomóc.

Zauważył, że na niego popatrzyła; wzięła do ręki kilka kartek i musiała się od razu zorientować, co to takiego. Było tam także jej zeznanie. Kilkaset słów opisujących stracone życie i zmarnowany związek. Szkic twarzy nakreślony na podstawie jej opisu. Obsesja Fina. Nic jednak nie powiedziała. Wstała, oddając mu papiery, a potem patrzyła, jak wpycha je z powrotem do teczki.

Kiedy dotarli do ulicy i nie mogli już dłużej odwlekać chwili rozstania, spytała:

— Pozostaniemy w kontakcie?

— A ma to sens?

— Chyba nie.

I tych kilka słów oznaczało, że to, co inwestowali w siebie przez lata — wspólne przeżycia, przyjemność i ból — zostało utracone jak płatki śniegu rozplływające się bez śladu w rzece.

Popatrzył na nią.

— Co zrobisz po sprzedaży domu?

— Wrócę do Glasgow. Pozostanę jakiś czas z ojcem. —

Napotkała jego wzrok. — A ty?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Owszem, wiesz. — Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

— Wrócisz na wyspę.

— Mono, unikałem tego przez większość dorosłego życia.

Pokręciła głową.

— Wrócisz tam. Wiesz o tym. Nie umkniesz przed wyspą. Tkwiła między nami przez te wszystkie lata jak cień. Nie pozwalała się nam do siebie zbliżyć. Była czymś, czym nie mogliśmy się dzielić.

Fin odetchnął głęboko i gdy zwrócił na chwilę twarz do słońca, poczuł na niej ciepło jego promieni. Potem spojrzał na nią.

— Tak, masz rację, mówiąc o cieniu. Ale to nie była wyspa.

• • •

Oczywiście, nie myliła się. Nie miał dokąd wracać, chyba że tam, skąd przyszedł. Do miejsca, które dało mu schronienie, porzuciło go i w końcu wyгнаło. Do jedyne go miejsca, w którym miał szansę ponownie odnaleźć siebie, o czym doskonale wiedział. Pośród swoich ludzi, mówiących jego językiem.

Stał na przednim pokładzie *Isle of Lewis* i patrzył, jak dziób unosi się i opada łagodnie na wyjątkowo spokojnych wodach cieśniny Minch. Góry stałego lądu zniknęły już dawno i sygnał promu rozbrzmiał żałośnie, kiedy zagłębili się w gęstą wiosenną mgłę, która otulała wschodnie wybrzeże wyspy.

Fin wpatrywał się intensywnie w skłębioną szarość, czując na twarzy wilgoć, aż wreszcie z posępnosci zaczął się wyłaniać niewyraźny zarys. Ledwie smuga na zagubionym horyzoncie, niesamowita i odwieczna, niczym duch jego przeszłości, który wracał, by go prześladować.

Kiedy w oparach mgły wyspa przybierała z wolna swój kształt, poczuł, jak dostaje na karku gęsiej skórki. Świadomość,

że powraca do domu, była niemal przytłaczająca.

ROZDZIAŁ 4

Gunn siedział przy biurku, wpatrując się w ekran komputera. Słyszał dźwięk rogu mgłowego od strony cieśniny Minch i wiedział, że prom niebawem zacumuje.

Dzielił gabinet na pierwszym piętrze z dwoma innymi detektywami i miał z okna dobry widok na sklep instytucji charytatywnej po drugiej stronie Church Street. „Chrześcijańska troska o ciało i duszę”. Gdyby wykreślił szyję, mógłby sięgnąć wzrokiem aż do hinduskiej restauracji z jej krzykliwie barwnymi sosami i smażonym ryżem z czosnkiem, któremu nie można było się oprzeć. Teraz jednak to, co widział na ekranie, tłumilo wszelkie myśli o jedzeniu.

Jak dowiedział się z Wikipedii, zwłoki z bagien, znane także jako ludzie z bagien, to zakonserwowane ciała znajdujące w mokradłach torfowych w północnej Europie, Wielkiej Brytanii i Irlandii. Kwaśna woda i niskie temperatury w połączeniu z brakiem tlenu pozwalały zachowywać skórę i organy do tego stopnia, że w niektórych przypadkach udawało się zdejmować odciski palców.

Zastanawiał się nad zwłokami, które leżały w chłodni pomieszczenia prosektoryjnego w szpitalu. Jak szybko mogłyby ulec rozkładowi, teraz, kiedy już nie spoczywały w torfie? Przeszedł w dół strony i spojrzał na zdjęcie głowy oddzielonej od ciała znalezionej przed sześćdziesięciu laty w Danii. Czekoladowobrązowa o zaskakująco wyraźnych rysach, jeden

policzek wciśnięty w nos — skutek ułożenia zwłok — ryży zarost, wciąż dobrze widoczny na górnej wardze i szczęcie.

— Ach tak, Człowiek z Tollund.

Gunn podniósł wzrok i zobaczył wysokiego i smukłego mężczyznę o pociągłej twarzy z aureolą ciemnych rzędzących włosów; nieznajomy pochylił się, by widzieć dokładniej obraz na monitorze komputera.

— Badanie włosów metodą węglową wykazało, że żył około czterechsetnego roku przed naszą erą. Idioci, którzy przeprowadzali sekcję zwłok, odcięli mu głowę, a resztę wyrzucili. Oprócz stopy i jednego palca, które wciąż są przechowywane w formalinie. — Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. — Profesor Colin Mulgrew.

Gunn był zaskoczony mocnym uściskiem jego dłoni. Facet wydawał się taki lekki. Jakby czytając mu w myślach albo dostrzegając grymas na twarzy, profesor uśmiechnął się.

— Patologowie muszą mieć sprawne dłonie, sierżancie. Żeby przecinać kości i rozdzielać struktury szkieletu. Nie ma pan pojęcia, ile siły to wymaga. — W jego akcencie wyczuwało się irlandzką nutę. Ponownie skupił uwagę na Człowieku z Tollund. — Zdumiewające, prawda? Po dwóch tysiącach czterystu latach wciąż można było ustalić, że został powieszony i że jego ostatni posiłek składał się z jakiejś kaszy.

— Pan też uczestniczył w sekcji zwłok?

— Do diabła, nie. To nie było za moich czasów, dużo wcześniej. Ja zajmowałem się Człowiekiem z Old Croghan, którego wyciągnęli z irlandzkiego torfowiska w dwa tysiące trzecim. Ale był prawie tak stary jak ten tutaj. Z pewnością leżał w bagnie ponad dwa tysiące lat. Cholernie wielki facet jak na swoje czasy. Sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Wyobraża pan sobie? Prawdziwy gigant. — Podrapał się po głowie i uśmiechnął. — Więc jak nazwiemy tego waszego osobnika? Człowiekiem z wyspy Lewis?

Gunn obrócił się na fotelu i wskazał profesorowi wolne krzesło, ale patolog pokręcił głową.

— Już się nasiedziałem. Trudno w samolocie wyciągnąć nogi.

Jako człowiek niewysokiego wzrostu sierżant nigdy nie miał z tym większego problemu, ale skinał głową.

— Jak umarł wasz Człowiek z Old Croghan? — spytał.

— Został zamordowany. Wcześniej go torturowano. Miał głębokie nacięcia pod obydwoma sutkami. Potem go zadźgali, pozbawili głowy i przecięli na pół. — Profesor podszedł do okna i spoglądając na ulicę, ciągnął: — Trochę to tajemnicze, bo miał niezwykle zadbane paznokcie. Nie parał się więc pracą fizyczną. Nie ulega wątpliwości, że odżywiał się mięsem, ale jego ostatni posiłek składał się z pszenicy i maślanki. Mój stary przyjaciel z Narodowego Muzeum Irlandii, Ned Kelly, uważa, że złożono go w ofierze, żeby zapewnić dobre plony zbóż i obfitość mleka w pobliskich włościach królewskich. — Odwrócił się do sierżanta. — Ta hinduska restauracja jest w porządku?

Gunn wzruszył ramionami.

— Niezła.

— To dobrze. Od wieków nie jadłem przyzwoitej hinduskiej potrawy. Gdzie w tej chwili jest nasz człowiek?

— W szpitalnej kostnicy.

Profesor zatarł ręce.

— Lepiej chodźmy i obejrzymy go, zanim zacznie się nam rozkładać. A potem lunch? Jestem cholernie głodny.

• • •

Ciało leżące na stole prosektoryjnym było dziwnie skurczone; odznaczało się krzepką budową, ale wydawało się małe. Miało barwę herbaty i wyglądało jak wycięte z żywicy.

Profesor Mulgrew miał na sobie ciemnoniebieski kombinezon i fartuch chirurgiczny, a na twarzy jasnożółtą maskę, która chroniła usta i nos. Powyżej usadowiły się śmiesznie wielkie okulary w rogowej oprawie, które zdawały się pomniejszać mu głowę, tak że wyglądał dość karykaturalnie.

Nie zdając sobie najwidoczniej z tego sprawy, poruszał się zwinnie wokół stołu i dokonywał pomiarów; jego białe tenisówki były zakryte zielonymi plastikowymi osłonami.

Podszedł do laminowanej tablicy, żeby umieścić na niej wstępne informacje; skrobiąc pisakiem, cały czas mówił:

— Biedny sukinsyn waży tylko czterdzieści jeden kilogramów. Niewiele jak na człowieka o wzroście stu siedemdziesięciu trzech centymetrów. — Zerknął znad okularów na Gunna.

— Był chory? Jak pan sądzi?

— Niekoniecznie. Choć jest nieźle zachowany, przez lata spadło mu sporo przez utratę płynów. Wygląda na całkiem zdrowego osobnika.

— Wiek?

— Powiedziałbym, że od osiemnastu do dwudziestu kilku lat.

— Nie, nie, chodzi mi o to, jak długo leżał w torfie.

Profesor Mulgrew uniósł brew i przechylił ironicznie głowę w stronę Gunna.

— Cierpliwości, sierżancie, błagam. Nie jestem jakąś cholerną maszyną do datowania węglowego. — Znów zajął się zwłokami i przewrócił je na brzuch, potem pochylił się i zaczął usuwać resztki brązowego i żółtozielonego mchu. — Znalezione przy nim jakieś resztki odzienia? — spytał.

— Nie, nic. — Gunn przysunął się bliżej, żeby sprawdzić, co przyciągnęło uwagę patologa. — Przekopaliśmy całą okolicę. Nie znaleźliśmy żadnych fragmentów ubrania ani przedmiotów.

— Hm. Powiedziałbym wobec tego, że był zawinięty w jakiś koc, zanim go pochowano. Musiał w nim leżeć kilka ładnych godzin.

Gunn uniósł ze zdumieniem brwi.

— Skąd pan to wie?

— Bezpośrednio po śmierci, panie Gunn, krew spływa do niższych części ciała, powodując odbarwienie skóry o

fioletowoczerwonym odcieniu. Nazywamy to zasinieniem pośmiertnym. Jeśli przyjrzy się pan uważnie jego plecom, pośladkom i udom, zauważy pan, że skóra jest ciemniejsza, ale na zasinieniu widać bledszy, jaśniejszy wzór.

— Co to oznacza?

— Oznacza, że po śmierci leżał od ośmiu do dziesięciu godzin na plecach, owinięty w jakiś szorstki koc, którego spłot pozostawił ślad na ciemniejszych partiach ciała. Możemy to usunąć i sfotografować, a potem, gdyby pan chciał, polecić jakiemuś artyście odtworzyć ścieg tkaniny. — Za pomocą pęsety pobrał kilka włókien wciąż przylegających do skóry. — Może wełna. Nietrudno będzie to ustalić.

Gunn skinął głową, ale postanowił nie pytać, jaki sens ma identyfikowanie ściegu i materiału koca utkanego setki czy nawet tysiące lat wcześniej. Patolog zajął się badaniem głowy.

— Gałki oczne uległy rozkładowi tak dawno temu, że nie sposób określić koloru tęczówek, a te ciemne rudokasztanowe włosy nie są żadną wskazówką co do ich pierwotnego koloru. Odbarwił je torf, podobnie jak skórę. — Zaczął sprawdzać nozdrza. — Ale to jest ciekawe. — Przyjrzał się czubkom swoich palców w lateksowych rękawiczkach. — Spora ilość drobnego srebrzystego piasku w nosie. Prawdopodobnie takiego samego jak w zadrapaniach pokrywających kolana i stopy. — Skupił uwagę na czole i usunął delikatnie trochę zanieczyszczeń z lewej skroni i włosów znajdujących się powyżej. — Niech mnie diabli!

— Co?

— Ma zakrzywioną bliznę na lewym przednim płacie skroniowym.

— Po ranie?

Profesor pokręcił w zamyśleniu głową.

— Nie, to wygląda na bliznę pooperacyjną. Oceniam na oko, że ten młody człowiek przeszedł w pewnym momencie operację związaną z jakimś urazem czaszki.

Gunn nie krył zdumienia.